

„Wtedy padał deszcz”

Autor: Pia

Kwalifikacja wieku: senior

Duże krople deszczu uderzały mocno o przednią szybę samochodu. Siedziałam na tylnym siedzeniu, ale czy był ktoś, kto byłby tym zainteresowany? Przecież i tak mnie nie widzieli. Nie mieli prawa mnie widzieć, w końcu jestem duchem. Nie wyglądam jednak jak zjawy przedstawiane w amerykańskich filmach. Nie jestem przeźroczysta, nie noszę długiej, zwiewnej, białej sukni. Jestem właśnie w drodze na własny pogrzeb. Mam na sobie czarną koszulkę, jeansy i trampki, tak samo jak tamtego okropnego dnia. Pamiętam ten dzień tak, jakby to było parę chwil temu.

Wracalam właśnie ze szkoły i zostało mi do pokonania ostatnie przejście dla pieszych, żeby być w domu. Tamtego dnia miałam urodziny, a w domu miała czekać na mnie niespodzianka. Byłam bardzo podekscytowana wizją przyjęcia, więc tak bardzo mi się śpieszyło, że nie zauważyłam nadjeżdżającego, rozpedzonego auta. Samochód nie zdążył wyhamować i wjechał we mnie, a raczej w moje ciało, gdyż duchem dalej stałam na chodniku i obserwowałam całe zdarzenie. Widziałam, jak moje ciało zostaje wyrzucone z ogromną siłą w powietrze i ląduje kilka metrów od samochodu. Nie miałam w sobie żadnych emocji. Wszystko oglądałam z zaskakującym spokojem i obojętnością. Kierowca samochodu natychmiast zadzwonił po pogotowie, jednocześnie sprawdzając mój oddech. Ratownicy przyjechali niedługo potem. Usiadłam pod najbliższym drzewem i patrzyłam, jak podejmują próbę reanimacji. Jak można się domyślić, bez skutku.

Przerywam rozmyślenia na temat wypadku, kiedy orientuję się, że już dotarliśmy pod kościół. Moi rodzice wychodzą z samochodu, więc i ja to robię. Idziemy obok siebie, jak za dawnych, dobrych czasów, kiedy jeszcze dane nam było spędzać czas razem. Dmucham delikatnie, by rozwiać długie, blond włosy mojej mamy, a ona odwraca głowę w moją stronę, a raczej w miejsce, gdzie stoję. Jestem świadoma faktu, że mnie nie widzi, ale jej piękne, szmaragdowe oczy, kiedyś wesołe, teraz opuchnięte od płaczu, dodają mi otuchy. Wchodzimy do kościoła i zauważam, że jest w nim więcej osób, niż myślałam, że będzie. Bliska i daleka rodzina, przyjaciele rodziny, moi nauczyciele, a nawet cała moja klasa, wliczając moich dawnych prześladowców... Dlaczego tu przyszli? Jestem pewna, że nie życzyli mi za dobrze. Jednak ku mojemu zaskoczeniu, ich twarze wcale nie wyrażają radości, niektórzy nawet mają zaczerwienione oczy. Czyżby żalowali tego, co mi zrobili?

W międzyczasie moi rodzice zajmują miejsca nieopodal mojej trumny. Podchodzę do niej wolno. To, co widzę, nie szokuje mnie. W ciemnej, drewnianej skrzyni leży martwa dziewczyna, ubrana w błękitną sukienkę do kostek, a jej brązowe włosy są poukładane falami wokół głowy. Powieki ma pomalowane niebieskim cieniem, który pasuje do stroju. Wygląda, jakby spała. W tym momencie nie czuję strachu ani złości. To są ludzkie uczucia, a ja nie jestem już człowiekiem. Jestem

wolna, a raczej będę po zakopaniu ciała w ziemi. Skąd to wiem? Tak podpowiada mi intuicja. Ostatni raz patrzę na moje ciało, teraz już tylko pustą, zużytą skorupę i siadam na ołtarzu, skąd widzę cały kościół.

Msza się rozpoczyna, wszyscy płaczą. Nie podoba mi się to. Czy pogrzeb nie może być wesoły? Przecież to uwolnienie ducha z tego świata, a zarazem rozpoczęcie nowej, astralnej podróży. Wzdycham głośno, ale nikt tego nie słyszy. Zrobiłabym wszystko, żeby przestali tak histerycznie płakać. Gdybym tylko mogła, rzuciłabym w nich zniczem. Niestety, nie mogę podnosić przedmiotów. Siedzę więc, machając nogami i czekając na koniec mszy. Po upływie pewnego czasu naprawdę chcę już stąd iść, ale jak mogłabym przegapić własny pogrzeb?

Ktoś ponownie głośno szlocha. Ksiądz opowiada, jaka byłam młoda, jak bardzo nie zasługiwałam na przedwczesną śmierć. Jakież to niesprawiedliwe, przecież przeżyłam tylko 18 lat. Szkoda, że nie zdążyłam się napić w dniu moich urodzin drogiego francuskiego wina, które zawsze chwaliła moja mama. Tak, tylko tego żałuję. Kiedy nie mogę już znieść lamentu zgromadzonych ludzi, postanawiam wyjść na zewnątrz i tam poczekać na orszak. Ostatni raz podziwiam padający deszcz. Zaczyna się jesień, kolorowe liście spadają z drzew, pokrywając pobliskie drogi i chodniki falami barw. Niedługo mam stać się z nimi jednością.

Po jakimś czasie na zewnątrz, za moją trumną, wychodzi tłum znajomych osób, wszyscy pod parasolami. Idę na końcu. Wśród maszerujących, smutnych ludzi panuje na początku przejmująca cisza. Nikt nie śmie rozmawiać, jednak po paru minutach szlochy znów stają się coraz głośniejsze. Przekraczamy granice cmentarza. Spadający na asfaltową drogę deszcz dodaje temu miejscu uroku, obmywając okoliczne kamienne posągi, kapliczki. Liczne znicze palą się, rozświetlając marmur. To właśnie ma być mój nowy „dom”. Dochodzę do wniosku, że całkiem mi się tu podoba. Gdzeniegdzie rosną drzewa iglaste, otoczenie jest zadbane i ładne.

Nareszcie wszyscy zatrzymują się, kiedy docieramy do dużej, głębokiej dziury w ziemi. Przed nią stoi nagrobek. „Klara Bułhakowska. Żyła lat 18 (30.09.2000 r. - 30.09.2018 r.). Dobra córka i wierna przyjaciółka. Spoczywaj w pokoju”. Przewracam oczami. Rodzice rzadko kiedy okazywali mi zainteresowanie, więc skąd mogli wiedzieć, jaką byłam córką? Jednak w dzień moich osiemnastych urodzin przygotowali dla mnie niespodziankę. Teraz już wiem, co ona skrywała. Była to nowiutka sztaluga wykonana z solidnego, jasnego drewna, a wraz z nią płótna i różnokolorowe farby. To było moje największe marzenie. Stara sztaluga, którą kiedyś miałam, rozpadła się dwa tygodnie przed moją śmiercią. Gdybym przeżyła wypadek, pewnie byłabym bardzo szczęśliwa. Niestety, czasem tak bywa. Raz rozpada się twoja sztaluga, a raz czekasz, aż pogrzebią cię w ziemi.

Płacz zgromadzonych wokół grobu rani moje uszy. Przepycham się między stłoczonymi ludźmi, którzy tego nie czują. Kiedy nareszcie udaje mi się wyjść ze strefy klaustrofobicznego płaczu, kapłan przestaje mówić. W oddali słyszę grzmot, a tłum porusza się niespokojnie. Zaraz potem słychać kolejny grzmot i kolejny. Na pochmurnym niebie połyskują błyskawice. Niektórzy zaczynają

w panice uciekać z cmentarza, lecz większość zostaje. Jednak kiedy zamiast deszczu zaczyna padać grad, zostają tylko moi rodzice oraz najbliższa przyjaciółka, Laura. Moja mama płacze, nie wydając z siebie żadnych dźwięków. Łzy po prostu spływają po jej bladych policzkach.

- Przepraszam... - szepcze, kiedy trumna opuszcza się powoli w dół.

Nagle czuję się bardzo lekko.

- Kochamy cię, misiu... - mówi mój tato lekko załamującym się głosem.

Trumna jest już na samym dole. Moje nogi powoli znikają, a ja widzę wszystko jaśniej niż zwykle. Laura pada na kolana i krzyczy głośno. Dalej się nie pogodziła z moją nagłą śmiercią.

Patrzę na moje ręce, są już bardzo blade. Skaczę do góry i zaczynam unosić się w powietrzu, radośnie wirując. Śmieję się, śmieję się, jak nigdy dotąd. Śmieję się, a grad ustaje, a wraz z nim burza. Śmieję się, a niebo się rozpogadza. Śmieję się, a rodzice i Laura patrzą w moją stronę w głębokim szoku. Śmieję się, a ze mną cały świat i słońce, które leniwie wyłania się spośród chmur.

- Ja też was kocham! - wołam tak głośno, by usłyszeli.

Jestem szczęśliwa, a na twarzach moich bliskich pojawia się smutny uśmiech. Wiedzą, że wszystko w porządku. Dadzą sobie radę beze mnie. Uśmiech nie schodzi z moich warg, kiedy unoszę się wysoko ponad budynkami. Biorę głęboki oddech i zamykam oczy, gdy znikam w jasnym świetle.